

Nie można się w mojej sytuacji uskarżać, przeszedłem już gorsze rzeczy.

B. Schulz: *Sanatorium pod Klepsydrą*

* Praca naukowa finansowana ze środków Narodowego Centrum Nauki, realizowana w ramach projektu *Męskość w literaturze i kulturze polskiej od XIX wieku do współczesności* (nr 2013/08/A/HS2/00058).

1 Opowiadania SCHULZA cytuję za: *Opowiadania. Wybór esejów i listów*. Oprac. J. JARZĘBSKI. Kraków 1989. Po cytacie podaję tytuł i numer strony.

Dołaskotać się do rozumienia

Oto fragment rozmowy pewnego podejrzanego doktora z pewnym zatroskanym synem:

- Czy ojciec żyje? – zapytałem, zatapiając wzrok niespokojny w jego uśmiechniętej twarzy.

- Żyje, naturalnie – rzekł, wytrzymując spokojnie moje żarliwe spojrzenie. – Oczywiście w granicach uwarunkowanych sytuacją – dodał przymrużając oczy. – Wie pan równie dobrze jak ja, że z punktu widzenia pańskiego domu, z perspektywy pańskiej ojczyzny – ojciec umarł. To się nie da całkiem odrobić. Ta śmierć rzuca pewien cień na jego tutejszą egzystencję.

- Ale ojciec sam nie wie, nie domyśla się? – zapytałem szepcąc. Potrząsnął głową z głębokim przekonaniem. – Niech pan będzie spokojny – rzekł przyciszonym głosem – nasi pacjenci nie domyślają się, nie mogą się domyślić... [...]

- [...] Tu po prostu jeszcze śmierć ojca nie doszła do skutku, ta śmierć, która go w pańskiej ojczyźnie już dosięgła.

- W takim razie [...] ojciec jest umierający lub bliski śmierci...

Sanatorium pod Klepsydrą, s. 253–254

Nie tyle twierdzi, ile pyta, z wieczną nadzieją i wiecznym zwątpieniem w głosie, współczesny zawodowy czytelnik. Czy ojciec umarł? Czy to znaczy, że jestem teraz panem we własnym domu? Czy od tej pory mogę już czytać, jak chcę? A jak chcę? I do kogo w takim razie kieruję te wszystkie pytania? Czy nie obudzę się jutro z tym samym okrzykiem, co zwykle: „ojcze, czyż nie widzisz, że...?”

- Nie rozumie mnie pan – odrzekł tonem pobłażliwego zniecierpliwienia.

Sanatorium pod Klepsydrą, s. 254

I długo jeszcze „idziemy tak obok siebie pogrążeni w rozmowie pełnej nieporozumień” (*Sanatorium pod Klepsydrą, s. 263*). Bruno Schulz w obrębie swojego *Sanatorium...* kreuje nową, ponowoczesną sytuację hermeneutyczną (albo zwyczajnie antyhermeneutyczną)

2 „Budząc się, zamroczeni jeszcze i chwiejni, ciągniemy dalej przerwana rozmowę, kontynuujemy uciążliwą drogę, toczy my naprzód zawiłą sprawę bez początku i końca. Skutkiem tego gubią się kędyś po drodze mimochodem całe interwały czasu, tracimy kontrolę nad ciągłością dnia i w końcu przestajemy na nią nalegać, rezygnujemy bez żalu ze szkieletu nieprzerwanej chronologii, do której bacznego nadzoru przywykliśmy ongiś z nałogu i z troskliwej dyscypliny codziennej. Dawno poświęciliśmy tę nieustanną gotowość do złożenia rachunku z przebitego czasu, tę skrupulatność w wyliczaniu się co do grosza ze zużytych godzin – dumę i ambicję naszej ekonomiki”. *Sanatorium pod Klepsydrą*, s. 262, podkr. – D.M.

3 Głos byłby tutaj tym, co wspólne dla języka i ciała, a jednocześnie tym, co nie przynależy ani do jednego, ani do drugiego. „Głos wydobywa się z ciała, ale nie jest jego częścią, równocześnie podtrzymuje język, choć do niego nie należy. Jednak w tej paradoksalnej topologii to jedyny punkt, który ciało i język ze sobą dzielą”. M. DOLAR: *A Voice and Nothing More*. Cambridge 2006, s. 73.

4 P. TOMCZOK: *Egzorcyzm antyhermeneutyczny. O wypędzaniu ducha*. W: *Teoria nad-interpretacją?* Red. J. OLEJNICZAK, M. BARON, P. TOMCZOK. Katowice 2012, s. 152.

ufundowaną na podwójnym zakłóceniu – zakłóceniu możliwości rozumienia i możliwości nierozumienia. Zarówno dystans czasowy, jak i przestrzenny wydają się nieskończenie rozciągliwe, a jednocześnie całkowicie klaustrofobiczne („spóźniamy się tu z czasem o pewien interwał, którego wielkości nie podobna określić” – *Sanatorium pod Klepsydrą*, s. 254²) – egzystencja toczy się w „niejako zwymiotowanym” (*Sanatorium pod Klepsydrą*, s. 268), niby tym samym, ale zawsze już całkiem innym, tu i teraz. W nieciągłej czasoprzestrzeni, w której nie da się z sobą ani porozumiewać, ani, co ważniejsze, nie porozumiewać. Nic tu komunikacji nie ułatwia, nic jej nie utrudnia ani nie komplikuje – wykluczeniu ulegają bowiem same warunki konieczne do zaistnienia jakiegokolwiek komunikacji. „Próbuję nawiązać z nim rozmowę, ale z jego ust wychodzi tylko niezrozumiały bełkot” (*Sanatorium pod Klepsydrą*, s. 274). W miejsce „dziejowego dialogu” (rozpoznawania i nierozpoznawania siebie w przekazach kulturowych) wkracza doraźność i cielesność bełkotu, uchylająca dualizm rozumienia i nierozumienia. Rozumienie nie ma się wobec czego różnicować, sens przestaje być wyobrażalny – nie sposób gadać z sensem lub bez sensu, nie dysponując jakimś punktem odniesienia, prymarnym generatorem sensów.

Podmiot tej prozy miota się między ciałem a językiem, lokując się gdzieś w rozsunięciu pomiędzy materializmem „splątanego alfabetu” (*Sanatorium pod Klepsydrą*, s. 143) i ostatnimi skrawkami semantyki. Jest pozostałością, ciężeniem głosu bez znaczenia³, osobliwym podmiotem właściwym zwłaszcza literaturze, której polem oddziaływania jest przecież pokazywanie „jakiegoś stanowiska dotychczas niemożliwego – przez to niezrozumiałego”, wprowadzającego „odbiorcę w niepokój, niemożność ustabilizowania znaczenia tekstu”⁴. Z tym że również zarysowana alternatywa, możliwości bądź niemożności ustabilizowania znaczenia, zostaje tu – w zderzeniu z literaturą, w lekturze, czyli stosunkowo bezkarnie przemycanym szaleństwie – zakwestionowana.

Patronem tej (anty)hermeneutycznej sytuacji jest u Schulza ojciec, który „już w gruncie rzeczy nie żyje” (*Sanatorium pod Klepsydrą*, s. 276). „W gruncie rzeczy” stanowi jednak zasadniczą różnicę, bo sygnalizuje, że ojciec mimo wszystko, a nawet tym bardziej, żyje: „życiem warunkowym”, „surogatem życia”, wiedzą innych o swoim życiu („consensus omnium” – *Sanatorium pod Klepsydrą*, s. 259). „Sam nie wie, nie domyśla się”, że umarł – niczym bohater kreskówki, który stracił grunt pod nogami, ale pewnie kroczy przed siebie, ponieważ nie wie, nie domyśla się, że klif dawno zostawił za sobą i zgodnie z prawem powszechnego ciężenia powinien zsunąć się w przepaść. Ale się nie zsuwa, bo nie wie, że powinien. Nie wie, że musiałoby tu działać jakieś prawo – albo że sam jest zobowiązany to prawo ustanowić lub uprawomocnić – i dlatego może więcej. Dyspo-

5 Opis dotyczy głosu ciotki Agaty, ale idealnie oddaje specyfikę ni to językowego, ni to cielesnego głosu-obiętu, który nic nie mówi, tylko działa jako pozostałość po procesie znaczeniowym, którego nigdy nie było.

6 Sformułowania użyte przez Erica L. Santnera w kontekście prozy Franza Kafki. Zob.: E.L. SANTNER: *Cuda się zdarzają*. Benjamin, Rosenzweig, Freud i problem bliźniego. W: S. ŻIŻEK, E.L. SANTNER, K. REINHARD: *Bliźni*. Przekł. E. ULIŃSKA. Poświęcie A. BIELIK-ROBSON. Warszawa 2013, s. 130.

nuje niewiedzą, która oddziałuje, choć nie w zakresie symbolicznej władzy, autorytetu czy potencjalnej interpelacji. Ptasi głos (zawsze, ale nigdy nie do końca) umierającego ojca, przenikliwie szepczący zza grobu, „głos tego mięsa [...] bujającego już jakby poza granicami osoby” (*Sklepy cynamonowe*, s. 10⁵), nie niesie żadnego pozytywnego przekazu (rób to i to, bądź taki i taki), wciela wyłącznie nieodpartą „nadwyżkę ważności poza znaczeniem”⁶, która jest czystym otwarciem nierozpoznanych i niewyobrażalnych do tej pory możliwości. otwarciem nierzadko zgubnym i lękotwórczym, choć być może także inwencyjnym. Jedyna zasada, jaką taki „nieprawowity” ojciec mógłby mimowolnie wprowadzić, brzmiałaby niczym nowa sokrateska ironia: nie wiem, że muszę wiedzieć, i dlatego mogę wiedzieć zupełnie inaczej.

W miarę jak ojciec od tych ogólnych zasad kosmogonii zbliżał się do terenu swych ciaśniejszych zainteresowań, głos jego zniżał się do wnikliwego szeptu, wykład stawał się coraz trudniejszy i zawilszy, a wyniki, do których dochodził, gubiły się w coraz bardziej wątpliwych i ryzykownych regionach. Gestykulacja jego nabierała ezoterycznej solenności. Przymykał jedno oko, przykładał dwa palce do czoła, chytróść jego spojrzenia stawała się wprost niesamowita. Wwiercał się tą chytrością w swe interlokutorki, gwałcił cynizmem tego spojrzenia najwstydlwsze, najintymniejsze w nich rezerwy i dosięgał wymykające się w najgłębszym zakamarku, przypierał do ściany i łaskotał, drapał ironicznym palcem, póki nie dołaskotał się błysku zrozumienia i śmiechu, śmiechu przyznania i porozumienia się, którym w końcu musiało się kapitulować.

Sklepy cynamonowe, s. 34

Ojciec ten nie uczy rozumienia czegokolwiek – chyba że chodzi o „dołaskotanie się do rozumienia” – sprzyja natomiast rozwiążności i zgorzeniu. Nie zapewnia komfortowej sytuacji, przeciwnie, gwarantuje uporczywy bezdech i dlatego nieźle nadaje się na patrona dobrych czytelników.

„Możesz sobie poczytać”

W artykule *Seksualność zdegradowana, czyli perwersyjny świat prozy Brunona Schulza* Paweł Dybel przekonuje, że w opowiadaniach pisarza z Drohobycza „narrator-syn uporczywie poszukuje [ojca], gdyż pozostawił on po sobie w pamięci [syna] trwałe, niewymazywalny ślad własnej nieobecności. Nie mogąc być przez niego przypominany jako taki, pojawia się na kartach prozy Schulza w zdegradowanej postaci zastępczej jako ojciec-upiór, który jest permanentnym brakiem samego siebie”⁷. Dalej pisze Dybel:

7 P. DYBEL: *Seksualność zdegradowana, czyli perwersyjny świat prozy Brunona Schulza*. „Teksty Drugie” 2005, nr 3, s. 208. Zob. też: IDEM: *Bruno Schulz i psychoanaliza. Obraz kobiety w „Sierpniu”*. <http://brunoschulz.eu/blog/archiwa/342> [data dostępu: 30.05.2015].

doświadczany przez narratora-syna jako permanentny Brak, Ojciec sprawuje odtąd tym większą władzę nad jego wyobraźnią, powracając w niej jako widmo, nie dając mu spokoju swoją natrętną nieobecnością. Koło się zamyka. Życie narratora-syna będzie się odtąd toczyć w zamkniętym kręgu własnych perwersyjnych fantazji, które odziedziczył po Ojcu (a właściwie po jego braku). [...] Podejmowane ze strony [syna] rozpaczliwe próby pełnego utożsamienia się z Ojcem spełzają na niczym⁸.

Spróbuję nieco inaczej rozłożyć akcenty. Wydaje się bowiem, że największym problemem narratora-syna nie jest mimo wszystko nieobecność, permanentny brak ojca czasem ukonkretniany w jakichś widmowych wyobrażeniach. Przeciwnie, Józefa przytłacza natrętna, nadmiarowa ojca obecność, rzecz można – jego matczyzna bliskość. Od narodzin z prawego, ojcowskiego łona wszystko się jednak zaczęło:

To było bardzo dawno temu. Matki jeszcze wówczas nie było. Spędzałem dni sam na sam z ojcem w naszym wielkim wówczas jak świat, pokoju. [...] Lubiłem stawać między nogami ojca, obejmując je z obu stron, jak kolumny.

Sanatorium pod Klepsydrą, s. 106

W tym przypadku to ojciec – nie „presymboliczna” matka – staje się pierwszym kazirodczym obiektem:

Potem przysłała matka i wczesna ta, jasna idylla skończyła się. [...] zapomniałem o ojcu.

Sanatorium pod Klepsydrą, s. 107

A potem mogło być już tylko gorzej.

„Przywykliśmy do jego [ojca] nieszkodliwej obecności, do jego cichego gaworzenia, do tego dziecinnego, w sobie zatopionego świegotu [...]. Przestaliśmy go brać w rachubę, tak bardzo oddalił się od wszystkiego, co ludzkie i co rzeczywiste” (*Sklepy cynamonowe*, s. 20). Z czasem jednak ta nieszkodliwa i oddalona obecność (poza rachubą, poza ekonomią, za to zatopiona w dziecinnym świegocie *lalangue*, języka ucieleśniającego rozkosz) staje się obecnością nie do zniesienia, bliskością kazirodczego, a jednocześnie – i paradoksalnie – symbolicznego obiektu, która wpycha podmiot w uniwersum lęku. Coś, co miało amortyzować ciężar incestualnej rozkoszy, zostało z nią utożsamione.

Józefa przerasta perwersyjna sytuacja, w której ojciec „nie wszystek umarł”. Czyli okoliczność, że choć umarł – żyje, że „nawet na uczciwą, obywatelską śmierć nie zasłużył sobie” (*Sklepy cynamo-*

nowe, s. 81). Umarł wprawdzie, ale zawiódł jako prawodawca – ów martwy organ wydający podmiotowi dowód osobisty, formujący obywatela. Choć złamany, niestrudzenie trwa w postaci „chyttrze uśmiechniętej” figury rozkoszy. Realny ojciec – ojciec przez „o” jak „obsцена” – uparcie trzyma się nagiego życia, nawet pokawałkowany prze do przodu. Ostatecznie doświadczenie „bycia żywym w śmierci” jest przecież tylko inną nazwą popędu: „To, co jeszcze z niego pozostało, to trochę cielesnej powłoki i ta garść bezsensownych dziwactw” (*Sklepy cynamonowe*, s. 20).

24 Porno rozumiane jako tekst rozkoszy tkwiącej w (po)kawałkowaniu. „Skoro obsceniczność to sprawa przedstawienia, a nie seksu, to należy zgłębić samo wnętrze ciała i trzewia; kto wie – pyta Jean Baudrillard – jaką rozkosz przyniosłoby wizualne ćwiartowanie, widok błon śluzowych i mięśni gładkich?”. J. BAUDRILLARD: *O uwodzeniu*. Przeł. J. MARGAŃSKI. Warszawa 2005, s. 35.

Zawzięty pornograf, nieujarzmiony niczym *porneia*⁹, osoba nierządna, poniżana i upokarzana, wykluczona z porządku rządzenia, ale dzięki temu mogąca intensywniej przenikać i wpływać na jego mechanizmy. Swoją niepokojącą obecnością ojciec narusza zarówno regulacje somatyczne – „ugotowany, gubiąc nogi po drodze, powłókł się ostatkami sił dalej, w bezdomną wędrówkę” (*Sanatorium pod Klepsydrą*, s. 318) – jak i symboliczne. Na tym ostatnim polu „ojciec gorszyiciel” stał się prawdziwym monopolistą:

Przed kilkoma dniami [snuje swoją opowieść Józef – D.M.] pisałem do księgarni w sprawie pewnej książki pornograficznej i oto posyłano mi ją tu, już znaleziono mój adres, a raczej adres ojca, który zaledwie otworzył sobie sklep bez szyldu i firmy. [...]

– Możesz sobie poczytać z tyłu w kontuarze – rzekł ojciec.

Sanatorium pod Klepsydrą, s. 260

„Możesz sobie poczytać” – cokolwiek, jakkolwiek; patologicznie, illegalnie, heretycko i występnie; z tyłu, w kontuarze – ale wciąż na moich, ojca-stręczyciela (*le père... ou pire*¹⁰), zasadach. Albo antyzasadach. To ja nauczam i to ja umożliwiam. Spaczona księga i traktat należą do mnie, zainicjowałem słowo, które w rezultacie zawisło w próżni między neurotyczną nieobecnością rzeczy a psychotycznym sklejeniem rzeczy i słowa. Im bardziej ojcowskie nauczanie jest, z jednej strony, materialistyczne i wywrotowe, a z drugiej – pragmatyczne i inkluzywne, tym trudniej się od niego zdystansować, tym trudniej je odrzucić jako skostniałe, dogmatyczne czy spóźnione.

10 To oczywiście nawiązanie do XIX seminarium Jacques’a Lacana, ...*ou pire*, do którego niniejsza praca chce być swobodnym suplementem. Zob. J. LACAN: *Le séminaire: Livre XIX... ou pire*. Texte établi par J.-A. MILLER. Paris 2011.

Tworzenie jest przywilejem wszystkich [...]. Cała materia [tekstu – D.M.] faluje od nieskończonych możliwości, które przez nią przechodzą mdłymi dreszczami. [...] stanowi ona teren wyjęty spod prawa, otwarty dla wszelkiego rodzaju szarlatanerii i dyletantyzmów, domenę wszelkich nadużyć i wątpliwych manipulacji [...]. Każdy może ją ugniatać, formować, każdemu jest posłuszna. [...] Nie ma żadnego zła

w redukcji życia do form innych i nowych. Zabójstwo nie jest grzechem. Jest ono nieraz koniecznym gwałtem wobec opornych i skostniałych form bytu, które przestały być zajmujące. W interesie ciekawego i ważnego eksperymentu może ono nawet stanowić zasługę. [...] jeśli by nawet [...] klasyczne metody kreacji okazały się raz na zawsze niedostępne, pozostają pewne metody illegalne, cały bezmiar metod heretyckich i występnych.

Sklepy cynamonowe, s. 33-34

Biorąc pod uwagę ten zew wolności, to ojcowskie przyzwalanie, nawet nakłanianie do twórczej, nieograniczonej rozpusty („pragniemy rozkoszy twórczej” – *Sklepy cynamonowe, s. 35*), a także całą tę lubieżność wypływającą z gęstych ustępów jego „metodologii lektury”, trudno się dziwić, że Józef nie jest w stanie wypracować sobie autonomicznej (ani żadnej innej) pozycji wobec swego faktycznego sobowtóra i zostaje mu już tylko miejsce na frustrację. W związku z tym zarówno działalność Józefa czytelnika, jak i tych „czytelników prawdziwych”, na których on liczy i z którymi pod stołem trzyma się „tajnie za ręce” (*Sklepy cynamonowe, s. 105*), nieustannie oscyluje wokół jednej, zasadniczej skargi – „Czemu nie zdychasz?” – kierowanej w stronę ojca. Skoro jesteś taki słaby, czemu ciągle tkwisz, niczym niewykastrowana pozostałość, w naszych gardłach?

W przypadku Józefa ojciec nie tylko nie spełnił swojej roli językowego pośrednika kastrującego podmiot z *jouissance*, ale sam przeobraził się w eksces, który miał wykastrować. Trzeba przy tym zaznaczyć, że ów eksces gnębiący narratora nie jest jakimś mitycznym elementem, który umknął językowym zabiegom kastracyjnym, jakąś presymboliczną rozkoszą, która w procesie symbolizacji gdzieś się uchowała. Przeciwnie, ów dyndający nadmiar, którym ojciec wymachuje Józefowi przed oczyma („Nie można było bez przykrości patrzeć na tę zbyt wyraźną i artykułowaną, bezwstydną niemal mechanikę jego anatomii, na wierzchu niejako leżącą i niczym nie osłoniętą od strony nagiego, wielocłonkowego brzucha” – *Sanatorium pod Klepsydrą, s. 316*), nie jest niczym innym jak produktem jakiejś formy kastracji, nadwyżką przez nią generowaną. Ciałem wchodzącym w ciało. Kęsem, którego nie da się przełknąć ani przetrawić¹¹.

Wniesiono mego ojca na półmisku. [...] leżał na stole pokrytym kapą pluszową, obok albumu z fotografiami i mechanicznej katarynki z papierosami, leżał omijany przez nas i nieruchomy. Nie na tym jednak miała się zakończyć ziemską wędrówką mego ojca i ten ciąg dalszy, to przedłużenie historii poza, zda się, już ostateczne i dopuszczalne granice – jest

¹¹ Aluzja do Freuda omawiającego źródła totemizmu w *Totem i tabu* jest tu bardziej niż oczywista. Różnica polega na tym, że Józef nie zabił (do końca) ani nie zjadł (w całości) swego ojca. W związku z tym, że syn „zasiedział się” na uczcie totemicznej, ojciec nie został zabity i w konsekwencji nie mógł też zmartwychwstać w postaci zinteralizowanego Prawa.

najboleśniej jej punktem. Czemuż nie dał wreszcie za wygraną, czemuż nie uznał się w końcu za pokonanego, gdy już zaprawdę miał wszelkie powody do tego, i los nie mógł już pójść dalej w doszczętnym pognębieniu go? [...] skonsolidował się jakoś w sobie, zdawał się jakby przychodzić pomału do siebie. Pewnego ranka zastaliśmy półmisek pusty. Jedna tylko noga leżała na brzegu talerza...

Sanatorium pod Klepsydrą, s. 318

Narrator-syn konstruuje najrozmaitsze scenariusze, w których „sobowtóryczny tato” już prawie, niemalże, tak jakby żegna się z życiem:

mój ojciec powoli zanikał, wiądnął w oczach.

Sklepy cynamonowe, s. 18

od tego czasu wyrzekliśmy się ojca. Podobieństwo do karkona występowało z dniem każdym wyraźniej.

Sklepy cynamonowe, s. 84

przeoczailiśmy go umyślnie.

Sanatorium pod Klepsydrą, s. 242

zauważyliśmy wówczas wszyscy, że ojciec zaczął z dnia na dzień maleć, jak orzech, który zsyca się wewnątrz łupiny.

Sklepy cynamonowe, s. 18

w tym czasie ojciec mój umarł był definitywnie. Umierał wielokrotnie, zawsze jeszcze nie doszczętnie, zawsze z pewnymi zastrzeżeniami, które zmuszały do rewizji tego faktu.

Sanatorium pod Klepsydrą, s. 313

I „nieraz bywało, [...] brakło ojca. Wówczas matka musiała długo wołać »Jakubie« [...], zanim wylazł z jakiejś szafy, oblepiony szmatami” (*Sklepy cynamonowe*, s. 19) – dobrze tu widać tę zamianę funkcji, w której to matka jest instancją interpelującą, nadającą symboliczne imię, podczas gdy „mój ojciec Jakub [niczym najlepszy psychoanalityk – D.M.] kiwa głową i cmoka językiem” (*Sanatorium pod Klepsydrą*, s. 139); „byliśmy odtąd na zawsze skazani słyszeć to żałosne niskie buczenie” (*Sanatorium pod Klepsydrą*, s. 241). Ojciec jest żywiołem zdecydowanie popędowym, „niesensownym”, „ponadartykulacyjnym” – jest „kreaturą” (*Sklepy cynamonowe*, s. 22). Zdeprawowanym i deprawującym ucieleśnieniem suplementarnego głosu, który nadaje jednak językowi podmiotu stwórczy charakter.

12 S. WRÓBEL: *Psychoanaliza wobec polityki i śmierci ojca*. „Psychoanaliza. Czasopismo NLS” 2011, wydanie specjalne, s. 83.

13 S. WRÓBEL: *Ćwiczenia z przyjaźni*. Kraków 2012, s. 61.

W rezultacie ojciec i tak stale powraca w to samo miejsce, choć odmieniony, zawsze w nieco innej, bardziej żałosnej i nieludzkiej, a przez to, rzecz jasna, arcyłudzkiej postaci: karakona, buczonej muchy czy ugotowanego skorupiaka. Szymon Wróbel uważa, że mamy tu do czynienia z typową strategią nowoczesności, sprzyjającą lamentom synów i poniżaniu ojców. „Dyskurs synów jest dyskursem skargi, domagającym się wyrównania »rachunków krzywd«, domagającym się wytłumaczenia »źródła bólu«, domagającym się wreszcie postawienia ojca w sytuacji porażki”¹² – sytuacji, w której syn mógłby sycić się jego upadkiem. W przypadku Schulza, twierdzi Wróbel, zachodzi „nieznośna potrzeba spektaklu upokarzania swego ojca”, poniżania i tak już nadwyreżonej instancji ojcowskiej. Wydaje się jednak, że wszystkie te poniżające scenariusze to co najwyżej niezbyt fortunne strategie obronne, mające choć w niewielkim stopniu neutralizować omnipotentny wpływ ojca rozkoszy.

Autor *Lektur retroaktywnych* pisze: „Schulz nie tylko demonizuje, jego celem jest raczej opętanie, czyli stałe, zwielokrotniane namiętnościami, odwoływanie się do kontrwzności. Kontrwzność natomiast [...] wypływa z potrzeby upokarzania wszystkich autorytetów i wartości, potrzeby roztrwania potencjałów kulturowych i stałego łżenia tradycji. Kontrwzność to nieznośna potrzeba spektaklu upokarzania swego ojca. Stąd Schulz skazany jest na stałe podglądanie swego ojca i stałe wraz z nim doświadczenie upokorzeń”¹³. Wróbel całkowicie pomija jednak twórczy potencjał tego obopólnego upokarzania, otwierający możliwość przekształcenia warunków dotychczasowej sytuacji i uwolnienia nowych (na przykład estetycznych) wartości. Zakładając oczywiście, że frustracja syna nie sprowadzi się wyłącznie do łżenia – a tym samym sankcjonowania i wspierania – zastanego systemu i autorytetu.

Le père... ou pire

W tym szerokim kontekście należałoby czytać wyznanie Ryszarda Koziołka, wyznanie, w którym, z perspektywy własnego doświadczenia edukacyjnego, autor opisuje dyscyplinarne konsekwencje wyzwalających założeń *Traktatu o manekinach*, milcząc jednak o nim samym:

na wykładach z literatury angielskiej dowiadywałem się, że kontekst [...] nie stabilizuje znaczenia, bo nie jest w stanie powstrzymać mnożących się łańcuchów *signifiants*, a może to uczynić jedynie wola mocy interpretatora. Niczym bohater Schulza, błądziłem w bocznych odnogach strukturalizmu, wyzwolony z ograniczeń Teorii, nurzałem się w rozkosznej wolności niezdeterminowanych sensów, nierozstrzygalnych aporii, beztrzesce błędnych odczytań, aby nazajutrz ze wsty-

14 R. KOZIOŁEK: *Teoria literatury jako akt wiary*. W: *Teoria nad-interpretacją?...*, s. 16.

dem rozpustnika egzorcyzmować swe występki dyscypliną [strukturalistycznych – D.M.] schematów¹⁴.

Rozkosz lektury bierze się z jej nielegalności. Nielegalność natomiast implikuje istnienie prawa, czyli jakiegoś instytucjonalnego czynnika alienującego podmiot. Instytucja raz za błędy wynagradza, innym razem karze, przede wszystkim jednak uprawomocnia, a przez to neutralizuje i pozbawia mocy „beztroskę błędnych odczytań”. Niemniej dla zawodowego czytelnika nie ma nic poza gmachem filologii, nie ma poza-gmachu:

Wbrew radykalności dekonstrukcyjnych, antyhermeneutycznych gestów – nic się nie stało, gmach filologii nie runął, struktura studiów istotnie się nie zmieniła, kanon uległ lekkiemu przewietrzeniu. [...] Nadal tkwimy w świętej trójcy pojęć: nadawca, komunikat, odbiorca; pisarz, tekst, czytelnik, akt pisania, przedmiot czytania, akt lektury. Pomiedzy tymi relikwiami teorii tworzyła się ortodoksja, herezja i upadek, ewolucja od autora do tekstu po wszechwładzę czytelnika. Mimo to rewolucja nie dokonała radykalnej wymiany języka, którym mówiliśmy¹⁵.

15 Ibidem, s. 17.

Gmach nie runął, język, którym się mówi o tym, o czym się mówi, uległ kosmetycznym modyfikacjom, ale w gruncie rzeczy pozostał ten sam. Odwołując się do fantazji Stefana Szymutki, można powiedzieć, że nie znalazła się żadna grupa anarchistycznych terrorystów z organizacji imienia Dzieciątka Jezus, zdolnych i gotowych pod ten gmach podłożyć bombę¹⁶. Jeśli jakiś nadmiar faktycznie porządek zakłóca, robi to w milczeniu.

16 Zob. S. SZYMUTKO: *Rzeczywistość jako zwątpienie w literaturze i w literaturoznawstwie*. Katowice 1998, s. 152.

– A jednak – powiedziałem zdetonowany – jestem pewny, że ten kondor to on. – Matka spojrzała na mnie spod rzęs: – Nie dręcz mnie, drogi – mówiłam ci już przecież, że ojciec podróżuje, jako komiwojażer po kraju – przecież wiesz, że czasem w nocy przyjeżdża do domu, ażeby przed świtem jeszcze dalej odjechać. *Sklepy cynamonowe*, s. 85

Koziołek o Schulzu wspomina rzadko, czasem tylko sam staje się „niczym bohater Schulza”. Na przykład wtedy, gdy w tytule dedykowanego Szymutce tekstu dokonuje następującej autoidentyfikacji: *Komiwojażer wiedzy o literaturze*. Artykuł ten jest rodzajem osobistego manifestu, w którym autor stawia pytanie: „Czym jest dziś, czym ma być dziś zawodowa gra w komentowanie literatury?”¹⁷. Odpowiedź można sformułować zwięźle: czytanie to, z jednej strony, opanowywanie nadmiaru, z drugiej – swobodne artykułowanie własnej instytucjonalnej obcości¹⁸. Wobec innych instytu-

17 R. KOZIOŁEK: *Komiwojażer wiedzy o literaturze*. W: IDEM: *Znakowanie trawy albo praktyki filologii*. Katowice 2011.

18 Zob. ibidem, s. 18.

19 Przynajmniej dopóki jakies „u siebie” istnieje.

20 R. KOZIOŁEK: *Antyгона w wielkim mieście* („A... B... C...”). W: IDEM: *Znakowanie trawy albo praktyki filologii...*, s. 77.

21 Ibidem.

cji, takich jak rynek, media czy władza polityczna, ale zwłaszcza wobec tej swojej, filologii uniwersyteckiej. Funkcja czytania spełnia się w dbaniu o to, by nigdy, będąc u siebie, filologia nie poczuła się u siebie do końca¹⁹. Koziołek nie jest pięknoduchem, wie doskonale, że podkładanie bomb pod gmach dyscypliny to estetyczna, jeśli nie czysto fantazmatyczna mrzonka (gmach można co najwyżej obrzucić balonami z farbą). W Schulzowskim uniwersum bliżej byłoby zatem Koziołkowi nie do ojca-komiwojażera, lecz do racjonalizującej matki, tej, która komiwojażera „wymyśliła”. A zrobiła to, by choć na moment odciążyć syna, zamienić przytłaczającą go pewność („jestem pewien, że ten kondor...”) w kojącą potrzebę (nie)-wiedzy („przecież wiesz, że czasem w nocy przyjeżdża...”). Zainscenizowała „»nie-wiedzę« pojmowaną jako aktywność poznawczą”²⁰, która wprawdzie nie wyklucza rozkoszy, ale w pierwszej kolejności chroni przed jej zalewem.

„Odkryte i ujawnione rozkosze czytania realizowane przez czytelnika dorosłego wymagają ukrycia w bezgłośniejszej lekturze lub skazane zostają na społeczną banicję, na »nocne, podziemne życie«”²¹. Czy matka z *Opowiadań* nie robi właśnie tego? Maskuje i zaciemnia hałaśliwy infantyizm litery-rozkoszy („kondor to”), wprowadzając do gry przestrzeń niezbędną do nadawania i odkrywania znaczenia znaku – znaku, który przynosi ulgę. To misja notorycznej negocjatorki, z założenia niemożliwa, powieść się zatem nie mogła. Świadczą o tym słowa syna-już-emeryta, „weterana abecadła”, rozkoszującego się dukaniem i dotykaniem bezsensownych liter:

Nauka szkolna nie straciła dla mnie nic na uroku nowości. Na przykład sztuka sylabizowania. [...] Z trudem i natężeniem dukaliśmy melodyjnie dźwięczne sylaby, pociągając w pauzach nosem i wyciskając na książce palcem literę po literze. Mój elementarz nosił [...] ślady palca wskazującego, zagęszczone przy trudniejszych literach.

Sanatorium pod Klepsydrą, s. 305

Z powodzeniem czy nie, matka pełni tu poniekąd (ojcowską) funkcję zaworu bezpieczeństwa, pośredniczki czy właśnie negocjatorki między ojcowską (a jakby macierzyńską) rozkoszą i nieubłaganym istnieniem prawa. Nieubłaganym, bo „Opowieść o lekturze, nawet najbardziej anarchiczna i »wolna«, powstać może jedynie w języku Prawa, a zatem mówić głosem Ojca”²², nawet gdy, jak w przypadku Rolanda Barthes’a, „stara się go [Ojca – D.M.] »ograć«, pozorując dyskurs instytucjonalnej teorii”²³. Im bardziej bowiem teoretyk lektury, a jest nim każdy czytelnik, Ojca „ogrywa”, tym gorszym, bardziej hegemonicznym ojcem się staje. *Le père... ou pire*. Barthes, tak jak przed nim Schulzowski Jakub,

22 R. KOZIOŁEK: *Maski czytania*. W: *Intymność wyrażona*. Red. M. KISIEL, M. TRAMER. Katowice 2006, s. 34.

23 Ibidem, s. 32.

24 „W kuchence bywało potem codziennie bardzo gwarno. Zza cienkiej ściany górnego pięterka domu wychodziły na zewnątrz cieniutkie głosy dziecięce, bąkające:
– A... b... c..., A... b... c... [...] Duży Kostuś okazał się szczególnie wielbicielem kaligrafii. Nic mu się tak bardzo nie podobało, jak wodzenie piórem po papierze, to słabiej, to mocniej, i gdy tylko zaczął już pisać litery, formalnie lubował się swymi arcydziełami. [...] Chłopiec zakreśliwszy całą stronicę, brał papier w obie ręce, szerokie plecy w płóciennym spencerze garbił nad stołem i głośno, z tryumfem, z prawdziwą rozkoszą odczytywał swoje pisanie”. E. ORZESZKOWA: *A... b... c...*. W: EADEM: *Opowiadania*. Warszawa 1973, s. 240. Kolejne cytaty z *A... b... c...* za tym wydaniem.

25 K. KOZIOŁEK: *Antyгона w wielkim mieście...*, s. 73.

26 „Niegdyś Mieczysław Lipski był dzieckiem zdrowym, choć zawsze trochę powolnym i nieśmiałym, ale trwało to krótko. Miał lat szesnaście i ukończył pięć klas gimnazjalnych, kiedy cera jego nabywać począła tej przykryj monotonnej, papierowej białości, ręce wychudły, ruchy zleniwiały” (*A... b... c...*, s. 233).

(chcąc nie chcąc) bierze na siebie i tym samym zawłaszcza całą rozkosz tekstu.

Dlatego do nauki czytania Koziołek zatrudnia nie Rolanda Barthes’a, a główną bohaterkę opowiadania *A... b... c...* Elizy Orzeszkowej, Joannę Lipską²⁴. Depozytariuszkę „dobrego czynu” (lektury) (*A... b... c...*, s. 247) – zmysłowego czytania, materialności języka („Cząstki języka jawią się dziecięcym bohaterom przedmiotami, są dotykane i brane w usta”²⁵) – i córkę.

W sile wieku usłyszał, że nie ma prawa pracować tak, jak chciał i umiał, ani pożywać owoców swej pracy. [...] Na mieskim cmentarzu nie otworzy się już mogiła i nie wyjrzy z niej przedwcześnie osiwiata głow[a] pedagoga z zaczerwienionymi od pracy oczami i wielką chmurą zmarszczek, którą na czole jego złożyły nie lata, lecz jedna chwila, ta, w której mu w ścianach szkoły powiedziano: „Idź stąd precz!”

A... b... c..., s. 231

Po tych słowach, oraz po „długiej chorobie”, skonał ojciec Joanny Lipskiej. Przedwcześnie posiwiaty Polak i pedagog, „który niewiele przed wydalaniem się swym z tego świata wydalony został z posady nauczyciela miejscowej szkoły męskiej” (*A... b... c...*, s. 231). Taki martwy patriarcha to dla córki prawdziwy skarb. Identyfikacja, czy może sukcesja – „trochę wiedzy przelanej w jej głowę z ust ojca”, „to, co umie, umie dobrze, sam ojciec przecież ją uczył... ale niewiele” (*A... b... c...*, s. 231, 235) – zaszła niemal bezproblemowo: „Nie wiem, dlaczego, ale tak jest. Może to po ojcu...” (*A... b... c...*, s. 236), nie waha się przyznać Joanna. Ojciec przelał tylko „trochę”, „niewiele” wiedzy, więc jeszcze sporo zostało na tym polu do zrobienia i do udowodnienia.

Oprócz tego martwego, symbolicznego, ma jednak Joanna także ojca całkiem realnego. Przedwcześnie postarzałego, ale na wskroś żywego (formalnego) brata – Mieczysława „Mieczkę” Lipskiego: „bolące oczy z porady lekarza okryto mu wtedy [gdy miał lat szesnaście – D.M.], jak starcowi, ciemnymi okularami; odtąd nigdy już ich nie zdejmował. [...] Kariera jego była złamana na zawsze” (*A... b... c...*, s. 233–234)²⁶. Mieczysław to „dziwny chłopiec” (*A... b... c...*, s. 254). Oprócz tego jest pisarzem („pilnie już pisał. Codziennie spędzał nad takim pisaniem długie godziny i w biurze, i w domu” (*A... b... c...*, s. 256)). Po godzinach zajmuje się też ekonomią i sutenerstwem („– A pieniądze czy z tego będą? [...] No... cóż... takie dalekie projekta układasz... a za mąż wyjść nie myślisz?” (*A... b... c...*, s. 234, 236)). Ostatecznie, poprzez zaciągnięcie u Joanny niemożliwego do oddania długu i jednoczesne zadłużenie jej u siebie na niespłacalną sumę, Mieczko kupuje sobie kobietę na własność. Niczym bezwzględny alfons, całkowicie Joannę od siebie uzależnia.

Biedny jej brat ze zwichniętym życiem przez nią, dla niej oddawał się jeszcze w ręce lichwiarza, wstępował w przepaść ługów, zgryzot, nędzy... Odjęła ręce od oczu i, obejmując go ramionami, błagać zaczęła, aby pozwolił jej iść do więzienia. Mówiła mu, że jest zdrowa, silna, młoda i może wszystko wytrzymać; [...] że ten dług, który zaciągnął, stokroć więcej sprawia jej bólu i trwogi niż te trzy miesiące... tam!... A gdy on przecząco wciąż głową wstrząsał i z wielkim wzruszeniem, lecz stanowczo powtarzał: „Nie, Joasiu, nie! nie! Ja na to przystać nie mogę!” – osunęła się na klęczki i, rękoma kolana jego objąwszy, błagała go gradem słów, które przechodziły w namiętne krzyki.

– Mieczku, najdroższy! pozwól, pozwól, pozwól mi tam pójść, a pieniądze te odnieść temu, od kogo je wzięłeś... Zaraz, zaraz, zaraz je odnieś! Pozwól, braciszku złoty, pozwól mi tam pójść!

Płakała gradem łez. [...] Ale on, schyliwszy się prędko i, podnosząc ją z klęczek, długimi swymi, twardymi ramionami mocno do swej piersi przycisnął.

– To już, moja droga, być nie może. Pieniądzy tych oddać nie mogę. Są już one u tego urzędnika, który tu przyjsć miał jutro rano, aby cię do więzienia zaprowadzić... a teraz nie ma po kogo przychodzić! Cha, cha, cha, cha!

A... b... c..., s. 253–254

Ta scena poraża. Mieczko jawi się w niej zarówno jako obsceniczny („cha, cha, cha”), jak i pragmatyczny legalista. Przepędza dzieciarnię („Znowu dzieci! [...] czy zupełnie już zginąć mam przez te przebrzydłe bębny? [...] Precz! precz!” – A... b... c..., s. 256), ale nie dlatego, że czuje się funkcjonariuszem wyroku sądowego, strażnikiem prawa w obrębie domu. A jeśli nawet, to osobliwego „prawa nocnego”: „gestykulował popędliwie i nogą w podłogę uderzał” (A... b... c..., s. 256). Mieczko zwyczajnie nie zamierza się dzielić z innymi dziećmi (zwłaszcza z Kostusiem) swoją kazirodczą rozkoszą, której ucieleśnieniem stała się dla niego Joanna. Do tego stopnia, że postanowił ją bez reszty zawłaszczyć, odmówił siostrze odrębnego istnienia: „teraz nie ma po kogo przychodzić! Cha!”. Jej już nie ma, rozplynęła się w ciele ojca/brata. Dlatego błagania Joanny i tragiczne zawołanie, że „ten dług [...] stokroć więcej sprawia jej bólu i trwogi” niż faktyczne więzienie, należy czytać całkiem dosłownie. Z jej punktu widzenia znacznie gorszy niż państwowy system penitencjarny jest prywatny właściciel czerpiący z niej rozkosz.

Joanna heroicznie akceptuje ten fakt – „miała prawo tak postąpić” (A... b... c..., s. 257) – i zostaje w „brudnym” domu. A jednocześnie poza dom, poza prawo (swego gorszego ojca) wykracza, bo „czuła,

27 „Maleństwo stłumiło srebrną dźwięczność swego głosu i tłustym, krótkim paluszkami o każdą z liter uderzając, cicho, szeptem prawie czytało: – A... b... c...”. (A... b... c..., s. 258).

myślała, że znów koniecznie coś z sobą począć wypada, jak najrychlej! jak najrychlej!” (A... b... c..., s. 257). Jest wszak niczym tekst, nieskończenie i nieprzerwanie wydatkująca. I poddaje się lekturze, czyli „prawie czytaniu”²⁷ – jak została określona czynność, którą robi mała Mańka, gdy bezprawnie, poza prawem (obojętna na zakaz Ojca i rozkaz ojca) literuje. Prawie czytać to jak tańczyć palcem po kartce, „nie z wesołości, ale ponieważ jest nam wszystko jedno, a melodia ma swoją wolę, swój uparty rytm. Więc ustępuje się” (*Sanatorium pod Klepsydrą*, s. 296).

Dawid Matuszek

A Shocker

Schulz and Professional Readers

Summary: The author offers a re-reading of the figure of a father, around which Bruno Schulz's work oscillates. Schulz's father is made a patron of anti-hermeneutic literary studies, whose ambition is to transcend the opposition between comprehension and incomprehension of a text. This father favours a reading which is dissolute and scandalous. Therefore, as a figure embodying bliss, he is called here a father-shocker (in a creative reference to Lacan's concept of *le père... ou pire*) – a perverted “lawgiver,” who obliges one even to violate the law and transgress the rules of the canon. He is the one who allows for acting on one's own anti-rules: the more they are, on the one hand, materialistic and subversive, and on the other, pragmatic and inclusive, the more difficult it is to distance oneself from them or to reject them – and thus create a space for the sovereignty of the subject. Yet, as the author persuades, the readers do not know other than an obscene father; thus they necessarily play on his terms – but it is only when one gives in to him completely that it is possible to outplay him, that is to liberate new reading possibilities.

Key words: Schulz, Orzeszkowa, psychoanalysis, reading, a father